



JAMES PATTERSON

ZOO

MICHAEL LEDWIDGE

1

Zoo w West Hollywood Los Angeles, Kalifornia

Zoo i ogród botaniczny w Los Angeles są położone w Griffith Park zajmującym tysiąc sześćset hektarów, na których znajdują się dwa pełnowymiarowe pola golfowe, muzeum Autry National Center oraz napis HOLLYWOOD. Jest raczej zaniedbaną atrakcją turystyczną niż instytucją ochrony fauny i flory.

Finansowane z mało stabilnego źródła, czyli miejskiego budżetu, przypomina mocno wysłużone wesołe miasteczko. Przy zbielełej od słońca betonowej promenadzie stoją przepelnione kubły na śmieci. Nierzadko można poczuć smród łajna dolatujący z klatek, gdzie w bezlitosnym kalifornijskim słońcu, nie zważając na krążące nad nimi muchy, zwierzęta leżą nieruchomo i patrzą przed siebie szklanym wzrokiem.

Na północny wschód od głównej bramy znajduje się wybieg dla lwów otoczony betonową fosą pokrytą szlamem. Kiedyś – gdyby mocno przymknąć oko – być może przypominał skrawek parku Serengeti. Dziś jednak przez brak dbałości o jego utrzymanie, niedobór funduszy i

pracowników wygląda na miejsce, jakim jest w rzeczywistości: wybetonowaną zagrodą, która jest wypełniona ubitą ziemią i obramowana sztuczną trawą oraz drzewami z plastiku.

Pięć po ósmej rano na wybiegu, pozornie pustym, jest już gorąco. Słychać tylko lekki szelest, gdy jakiś ciemny, węzowy kształt przesuwa się wolno tam i z powrotem w kępie wysokiej sztucznej trawy. Dźwięk i ruch ustają. Po chwili zza głazu ze sklejki w odległości piętnastu metrów wyskakuje coś wielkiego.

Mosa, lwica z zoo w Los Angeles, z zawrotną prędkością pokonuje wybieg i zmierza w kierunku poruszającej się trawy, wpatrując się w nią jasnożółtymi oczami. Ale zamiast skoczyć w trawę, w ostatnim ułamku sekundy przewraca się na ziemię. Wzbijając kłęby kurzu, obraca się na grzbiecie o trzysta sześćdziesiąt stopni i znów staje na czterech łapach.

Głęboko w trawie leży Dominick, towarzysz Mosy. Z dwóch mieszkających w zoo lwów południowoafrykańskich to on jest samcem alfa. Starszy od Mosy, potrząsa królewską rudawą grzywą i obrzuca samicę chłodnym spojrzeniem. W ciągu ostatnich kilku tygodni wydaje się coraz bardziej spięty i czujny, nie ma nastroju do zabawy. Na chwilę przymyka oczy, po czym wraca do machania ogonem w wysokich żdźbłach trawy.

Mosa zerka na niego, a potem patrzy w stronę tylnego ogrodu na dużą gumową piłkę do ćwiczeń, którą niedawno dał im jeden z opiekunów. Wreszcie, ignorując piłkę, wolno pochyla się, by wtulić nos w grzywę Dominicka i liznąć go na znak przeprosin i szacunku.

Wielkie koty leżą obok siebie pod nieskazitelnym błękitem kalifornijskiego nieba. Mosa czyści sobie zakurzone poduszki

masywnych łap. Jeśli tego ranka można dostrzec jakąś wskazówkę, że coś jest nie tak, to nie kryje się ona w tym, co robią lwy, ale w tym, czego nie robią.

U lwów, podobnie jak u innych żyjących stadnie ssaków, ważną rolę w porozumiewaniu się odgrywa wokalizacja. Lwy wydają dźwięki podczas rywalizacji seksualnej, sporów terytorialnych i koordynacji obrony przed drapieżnikami.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni Mosa i Dominick wydawały coraz mniej odgłosów. Teraz prawie cały czas milczą.

Lwy wyczuwają opiekuna dużo wcześniej, zanim brzęknie ogrodzenie z siatki czterdzieści metrów za nimi. Kiedy do ich nozdrzy dochodzi zapach człowieka, reagują zupełnie inaczej niż dotychczas. Podnoszą się. Ich ogony sztywnieją. Zwierzęta stawiają uszy, a ich sierść wyraźnie jeży się na grzbietach.

Podobnie jak wilki, lwy polują i czatują na zdobycz w zorganizowanych grupach. Zachowanie tych dwóch wskazuje gotowość do zaatakowania ofiary.

Dominick wysuwa się z trawy na nieosłoniętą część wybiegu. Nawet jak na samca jest olbrzymi – prawie dwieście trzydzieści kilogramów wagi, ponad dwa i pół metra długości i metr czterdzieści wysokości. Król dżungli wietrzy, a pochwywszy jeszcze raz woń człowieka, rusza w jego stronę.

2

Terrence Larson, pomocnik opiekuna wielkich kotów, otwiera zewnętrzną bramkę z siatki ogrodzeniowej prowadzącą na wybieg lwów, wsuwa haczyk w oczko, aby się nie zamknęła, i wciąga do środka czerwone plastikowe wiadro z karmą. Muskularny mężczyzna w średnim wieku, oganiając się od much, taszczy śniadanie dla lwów złożone z dziesięciu kilogramów kości goleniowych i pokrojonej w grubą kostkę krwistej wołowiny.

Po kilkunastu krokach Larson, były technik oświetleniowy z Paramount Pictures, rzuca mięso przez wysoką do piersi gęstą drucianą siatkę na końcu ogrodzenia. Mięso ląduje na ziemi z mokrym plaśnięciem. Larson przewraca wiadro do góry dnem i siada na nim obok otwartego zewnętrznego ogrodzenia. Wie, że powinien stać za zamkniętym ogrodzeniem i stamtąd oglądać jedzące lwy, ale jest weekend święta Czwartego Lipca i wszyscy szefowie są na urlopie, więc w czym rzecz?

Siedzenie z lwami o poranku, przed otwarciem zoo, to dla Larsona najlepsza chwila w ciągu całego dnia. Tommy Rector, kierownik sekcji wielkich kotów, wołał mniejsze,

bardziej ruchliwe i uczuciowe zwierzęta – jaguary i rysie – lecz Larson, odkąd w wieku siedmiu lat odwiedził cyrk Ringling Brothers, co na zawsze zmieniło jego życie, jest zapalonym miłośnikiem lwów. Jego zdaniem, to zwierzę nie bez powodu symbolizuje potęgę, niebezpieczeństwo i tajemnicę; nie bez powodu musieli z nim walczyć słynni siłacze – na przykład Samson czy Herkules. Siła, wdzięk i nadnaturalne piękno lwów nie przestają go zdumiewać, choć pracuje przy nich już od piętnastu lat. Podobnie jak podczas pracy w branży filmowej, Larson często mówi znajomym, że nie może uwierzyć, iż naprawdę płacą mu za to, co robi.

Z kieszeni na piersi służbowej bluzy w kolorze khaki wyciąga paczkę papierosów, a gdy wsuwa do ust papierosa i zapala, z motoroli przypiętej do bocznej kieszeni krótkich spodni dobiega przenikliwy sygnał alarmowy. Sięga po radio, próbując się domyślić, o co chodzi, ale w tym momencie przez trzaski przebija się piskliwy głos Ala Ronkowskiego z ekipy technicznej; wścieka się na kogoś, kto zajął jego miejsce na parkingu.

Larson ni to parska śmiechem, ni to prychnie z pogardą, po czym ścisza radio i wydmuchuje nosem dwie szare smugi dymu, przyglądając się trawie na drugim końcu wybiegu, który ma długość sześćdziesięciu i szerokość trzydziestu metrów. Zastanawia się, gdzie, u diabła, mogły się podzielić dwa lwy. Kiedy otwiera bramę, Mosa zwykle czeka na niego jak domowy kot, który biegiem wpada do kuchni na dźwięk elektrycznego otwieracza do puszek.

Słyszając plusk, Larson wyrzuca niedopałek i wstaje. W panice.

Co? Nie!!! W fosie?

Wysoka skarpa i taras uniemożliwiają lwom wejście do

fosy, ale ta ochrona nie zdołała powstrzymać kiedyś jednego z nich przed skapaniem się. Sprowadzenie przerażonej i przemoczonej Mosy na suchy ląd zajęło pracownikom zoo dwie godziny.

Tego mu tylko potrzeba, gdy akurat nie ma szefów, a w pracy jest połowa personelu. Bawić się w ratownika blisko dwustukilogramowego wkurzonego i całkowicie przemoczonego lwa.

Wchodzi do klatki bez ubezpieczenia: zdecydowanie wbrew zasadom, ale w rzeczywistości stale robi się takie rzeczy. Szybko otwiera bramkę dla opiekunów i biegnie na skraj skarpy.

Po chwili oddycha z ulgą, widząc jedną z zielonych piłek do ćwiczeń unoszącą się na powierzchni wody. Zapomniał o tych głupich zabawkach. Na szczęście nie stało się nic więcej. Mosa w jakiś sposób zdołała przerzucić piłkę nad tarasem. I tyle. Uff.

Odwracając się od krawędzi skarpy, Larson nagle nieruchomieje. Stoi jak skamieniały nad brzegiem fosy. Dokładnie między nim a otwartą bramką w ogrodzeniu siedzi Dominick: nieporuszony, miarowo machając ogonem, utkwivszy złotobursztynowe oczy w twarzy Larsona. Jego śniadanie leży nietknięte obok. Siedzi, ogromny i milczący, i wpatruje się w Larsona obojętnymi oczyma barwy ognia.

Larson czuje suchość w ustach, gdy potężny kot pochyla się naprzód, a potem cofa, jak markujący cios bokser.

Przyjmuje pozy, tłumaczy sobie spokojnie Larson, starając się w ogóle nie ruszać. Oczywiście stary kocur jest po prostu zaskoczony jego obecnością na swoim terytorium. Larson wie, że na wolności ten dwudziestoletni tetryk już dawno zostałby zabity przez młodszego rywala, który miałby chrapkę

na samice w jego stadzie.

Larson dochodzi do wniosku, że ma mały kłopot. Zastanawia się, czy skorzystać z radia, ale rezygnuje. Przynajmniej na razie. Był już w klatce z Dominickiem. Staruszek po prostu zgrywa waźniaka. Za chwilę znudzi go ta gra w cykora i zacznie jeść. Dominick zna Larsona od wielu lat. Zna jego zapach, wie, że nie stanowi zagrożenia.

Poza tym w najgorszym wypadku Larson ma za plecami fosę. Wystarczą trzy kroki i będzie bezpieczny. Zsunie się ze skarpy, być może złamie nogę w kostce i mokry i upokorzony zaczeka na innych opiekunów, ale kiedy się zjawia, jego kości wciąż będzie okrywać skóra, a wnętrzności nadal będą w środku, gdzie woli je zatrzymać.

– Już dobrze, dobrze, stary – mówi Larson, po czym szepcze „ciiii”, jak gdyby usypiał dziecko. – Lubię twoją Mosę, ale nie jest w moim typie.

Larson zauważa ruch po lewej, właściwie bardziej go wyczuwa, niż widzi. Odwraca się w tę stronę i dostrzega coś płowego i masywnego, co wyskakuje z trawy, wzbijając w powietrze słup kurzu, nabiera prędkości i mknie w jego stronę coraz większe.

Opiekun nie zdąża zrobić nawet kroku, gdy Mosa skacze na niego. Jej łeb uderza go w pierś jak potężny taran. Z jego płuc natychmiast uchodzi całe powietrze, Larson unosi się i ląduje na plecach trzy metry dalej.

Oszołomiony leży na wznak. Serce wali mu jak oszalałe i Larson obawia się, że to zawał. Ale przestaje o tym myśleć, gdy tuż przy jego uchu rozlega się cichy, zdławiony pomruk Mosy.

Sięga po radio, lecz w tym momencie Mosa kładzie łapy na jego ramieniu i wgryza mu się w twarz. Długie górne kły

przebijają mu oczy, a dolne siekacze bez trudu zagłębiają się od dołu w jego szczękę.

Mosa miota ciałem Larsona jak bezradną szmacianą lalką, trzymając go zębami za głowę. Kiedy skręca mu kark z trzaskiem do złudzenia przypominającym odgłos łamanego ołówka, ten dźwięk jest ostatnią rzeczą, jaką mózg Larsona rejestruje przed śmiercią.

3

Mosa z gardłowym warknięciem puszcza martwego opiekuna. Pazurem prawej przedniej łapy, przypominającym kciuk, wydłubuje jak wykałaczką kawałek mięsa spomiędzy zębów. Kiedy zlizuje krew z warg, na ziemi ląduje to, co zostało z zegarka Larsona.

Dominick, który już się pożywił, rusza biegiem w kierunku otwartej bramki. Na końcu korytarza między ogrodzeniami lwy mijają maleńką klatkę zabiegową, do której wpychają je opiekunowie, gdy zwierzęta potrzebują pomocy medycznej. Nie będą za nią tęsknić.

Szybko pokonują felidarium. Na przeciwnym końcu, przy gumowych węzłach, jest niska bramka, a po drugiej stronie biała betonowa ścieżka. Mosa i Dominick zwinnie i lekko jednym susem przeskakują bramkę i już po chwili pędzą pustą promenadą zoo. Potem przesadzają kołowrotki przy wejściu i okrążając parking, zmierzają do najbliższej kępy dębów i orzechów Griffith Park.

Szybko wspinają się na porośnięte krzewami wzgórze i zbiegają z niego truchtem. Gorący wiatr znów przynosi zapach człowieka. Chwilę później dostrzegają jego źródło na

jednym z torów gry pola golfowego. To przystojny i młody czarnoskóry mężczyzna w czerwonej koszulce i czarnych spodniach. Przed pójściem do pracy postanowił zaliczyć dziewięć dołków. Jest wyraźnie zaskoczony widokiem lwów na polu golfowym.

Dominick rzuca się naprzód, przewracając na bok mężczyznę, który gubi buty. Śmiercionośne zęby wyrywają golfiście prawie całą szyję, tryska fontanna krwi.

Zwierzę puszcza martwego człowieka i wolno się cofa, gdy widzi radiowóz zbliżający się do pola od północy. Chce zostać i zaatakować, ale wie, że ta skrzynka pełna ludzi jest zrobiona z tego samego zimnego i trudnego do sforsowania materiału co jego klatka.

Lwy biegną w stronę lasu, aby ukryć się wśród drzew. Na szczycie wzniesienia Dominick przystaje na chwilę i spogląda na miasto. Poniżej rozciąga się Los Angeles, brązowe pole zamieszkane przez ludzi, drgające w zasnuwającym je dymie i nadciągającym upale, którego granice rozplývają się we mgle.

Zapach jest silniejszy i dochodzi ze wszystkich stron. Z biurowców i domów, z ulic, z maleńkich samochodów sunących po autostradach. Powietrze jest nim przesyccone. Ale zamiast od niego uciekać, Dominick i Mosa, żądne krwi, ruszają biegiem w jego kierunku, szukając łapami oparcia na zboczu.

Rozdział 1

Obudziłem się roztrzęsiony.

Z początku wpadłem w panikę, myśląc, że mam udar albo coś podobnego. Potem otworzyłem oczy i z ulgą przypomniałem sobie, że to nie ja się trzęsę. Trzęsło się moje mieszkanie.

Zza ściany zakurzonych przemysłowych okien obok łóżka dobiegał odgłos przypominający łomot, jaki wydaje pułk olbrzymów rytmicznie uderzających kolbami karabinów o beton podczas musztry paradnej. Ale to nie byli poczciwi żołnierze marines w zielonych mundurach. Wiedziałem, że źródłem huków, który mógłby wskrzesić zmarłego, jest kolejka linii metra numer 1 Broadway–Siódma Aleja, jadąca nadziemnym odcinkiem, który przebiegał obok mojego nowego mieszkania w Harlemie – loftu na czwartym piętrze. Jeszcze nie przyzwyczailem się do tego pociągu.

Skrzywiłem się, zakryłem głowę poduszką. Bez sensu. Tylko w Nowym Jorku trzeba płacić za przywilej spania przy wiadukcie.

Ale byłem tak splukany, że nie stać mnie było nawet na narzekanie. Usiadłem. Nie mogłem sobie nawet pozwolić na

spanie. Nie stać mnie było nawet na myślenie o pieniądzach. Wydałem wszystko, a nawet więcej; moją zdolność kredytową szlag trafił. W tym momencie widziałem przed sobą tylko jeden cel, który za wszelką cenę musiałem osiągnąć, koncentrując na nim całe swoje życie: zrozumieć to, zanim będzie za późno.

Nie zawsze było jednak tak beznadziejnie. Zaledwie dwa lata wcześniej nie tylko miałem mieszkanie, które się nie trzęsło, ale dostałem szansę szybszego uzyskania doktoratu na Uniwersytecie Columbia. Byłem ulubieńcem na wydziale ekologii, ewolucji i biologii środowiskowej i miałem sukces w zasięgu ręki, czując już zapach kontraktów na książki, przyjęć, ciepłych posad uniwersyteckich.

Wtedy właśnie zetknąłem się z pewnym zdarzeniem – inni uznali je za pomyłkę – które odmieniło moje życie.

Coś zauważyłem. Coś, co odbiegało od normy. I czego nie mogłem zignorować.

Tak się czasem zdarza. Życie płynie jak bajka i nagle widzisz coś, co nie mieści się w żadnej kategorii. Co zaczyna wypełniać każdą twoją myśl, każdą chwilę snu i jawy.

Przynajmniej tak się stało w moim przypadku. Stałem u progu wspaniałej kariery naukowej, kiedy nagle zacząłem się zmagać z czymś, o czym nie mogłem przestać myśleć, czego nie potrafiłem się pozbyć, nawet gdy mój świat walił mi się na głowę.

Wiem, że to brzmi jak czyste wariactwo. Zadatki na wybitnego intelektualistę w połączeniu z obsesją i odrzuceniem tradycyjnie pojmowanego sukcesu zwykle zapowiadają dość marny koniec. Na pewno tak było w przypadku Teda Kaczyńskiego, Unabombera, i Chrisa McCandlessa, bohatera książki i filmu *Wszystko za życie*,

który umarł w autobusie.

Nie byłem jednak malkontentem ani mistykiem, który stara się nawiązać bliski kontakt z wyższą rzeczywistością. Bardziej przypominałem Kurczaka Małego, specjalizującego się w biologii ewolucyjnej Kurczaka Małego, który odkrył, że niebo naprawdę się wali. Tyle że nie chodziło o niebo, ale o coś więcej. Waliło się życie biologiczne. Życie zwierząt. Działo się coś bardzo, bardzo dziwnego i bardzo, bardzo złego, a mówiłem o tym tylko ja – głosem wołającego na puszczy.

Zanim jednak uprzedzę fakty, nazywam się Oz. Na imię mam Jackson, ale kiedy ktoś nosi takie nazwisko jak ja, nie używa imienia. Niestety, mój ojciec też jest znany jako Oz, podobnie jak moja mama, trzy siostry, stryjowie i wszyscy kuzyni ze strony ojca. Wprowadza to pewne zamieszanie na spotkaniach rodzinnych, ale to nie ma nic do rzeczy.

Chodzi o to, że zacząłem obserwować pewien globalny problem, któremu w dużej mierze poświęciłem życie i który próbowałem zrozumieć.

Wiem, brzmi to pompatycznie, ale obawiałem się, że jeśli mam rację – a po raz pierwszy w życiu miałem szczerą nadzieję, że się mylę – rozpoczęła się ogólnoswiatowa zmiana paradygmatu, przy którym globalne ocieplenie przypominało niedzielny spacer po ekologicznym ogrodzie społecznościowym.

Rozdział 2

Wyskoczyłem z łóżka w szarych, pogniecionych spodniach od piżamy, którą podarowały mi linie Air France przy okazji niedawnego lotu do Paryża. Ogoliłem się, wziąłem prysznic, wyszorowałem zęby, po czym znów włożyłem elegancką francuską piżamę. Praca w domu ma swoje zalety. Zgoda, słowo „praca” sugeruje, że na niej zarabiałem. Ale to był inny rodzaj pracy. Tak czy inaczej, piżama była naprawdę wygodna.

Wychodząc z sypialni, sięgnąłem po jeszcze jeden cenny przedmiot wiszący na klamce – wełnianą czapkę w kolorze strażackiej czerwieni, którą zdobyłem przy okazji niedawnej wyprawy na Alaskę. Naciągnąłem ją na głowę i rzuciłem się na podłogę, żeby zrobić codzienną setkę pompek. Tego zwyczaju nabrałem jeszcze przed college'em, przy okazji innego wyjazdu – czteroletniej służby w wojsku.

Po porannej gimnastyce ruszyłem do swojej pracowni. Włączyłem listwy zasilające, a następnie telewizory, ustawione w rzędzie na metalowym stole roboczym znajdującym się pośrodku industrialnego pokoju. Miałem w sumie osiem telewizorów. Część nowoczesnych z płaskimi ekranami, ale w większości gruchoty, które wygrzebałem ze

śmietników, kiedy telewizja przeszła na sygnał cyfrowy. Za nimi kłębił się gordyjski węzeł przewodów, którymi były podłączone do dekodeków kablowych i satelitarnych oraz kilku laptopów i serwerów. Zmodyfikowałem je z pomocą kilku znajomych elektroników, tworząc największy, najbardziej odjechany system rejestracji wideo.

Kiedy czekałem, aż wszystko zacznie pracować, otworzyłem pierwszą tego dnia puszkę red bulla. Następna kolejka linii numer 1 spowodowała przyspieszenie akcji serca, wzbijając obłok kurzu z parapetów. Możecie mnie nazwać świrem – śmiało, nie będziecie pierwsi – ale po pierwszym szoku nawet polubiłem tło dźwiękowe, jakie zapewniał mi w mieszkaniu nowojorski system transportu publicznego. Nie wiem dlaczego, ale odkąd byłem małym dzieckiem aż po czasy, gdy dostałem stypendium Rhodessa na Uniwersytecie w Oksfordzie, mój nadpobudliwy mózg zwykle pracował pełną parą, gdy dookoła panował ogłuszający hałas. Oldskulowe AC/DC to były moje klimaty. Metallica i Motörhead, z dźwiękiem podkreconym na maksa.

Patrząc spod zmarszczonych brwi na rozjaśniające się ekrany, przypomniałem sobie, jak mój ojciec, porucznik nowojorskiej straży pożarnej, oglądał wieczorne wiadomości. Po jakiejś dużej akcji na Bronxie przychodził do domu, siadał przed telewizorem i w trakcie pierwszej reklamy, po jednej czy dwóch butelkach piwa Miller High Life, mawiał:

– Oz, synu, czasami wydaje mi się, że ten nasz świat to po prostu jedno cholerne zoo.

Na ekranach przede mną zaczęły się pojawiać zwierzęta. Całe mnóstwo zwierząt. I wszystkie zachowywały się bardzo źle.

Ojcowie chyba rzeczywiście wszystko wiedzą najlepiej,

bo działo się właśnie coś takiego. Świat zmieniał się w zoo bez klatek.